

Sprawdzić sprawdzian

Dr Paul Epstein jest od kilku lat związany z Polskim Instytutem Montessori (PIM) jako konsultant i prowadzący zajęcia, szkolący kadre PIM. Od dwóch lat uczestniczy w ogólnopolskich konferencjach Montessori w Polsce, w tym roku wystąpił także podczas 7.FORUM Wychowania Przedszkolnego. Z wielką radością pragnę przedstawić polskiemu czytelnikowi jego artykuł na temat tak kontrowersyjny jak testy, sprawdziany.... Artykuł jest osadzony w rzeczywistości Stanów Zjednoczonych, mimo to pokazuje mechanizmy zarówno polityczne, jak i społeczne właściwe nie tylko dla amerykańskiego społeczeństwa. Jest to tekst kontrowersyjny i skłaniający do refleksji.

Joanna Maghen, dyrektor Polskiego Instytutu Montessori

W moim miasteczku stoi sobie billboard o następującej treści: "Szkoła się zaczęła. Sprawdziany się zdarzają. Ufajcie w moc modlitwy". Wszelkie sprawdziany i ich wyniki są swoistą osobliwością systemu nauczania. Efekty pracy nauczyciela, a przez to i działalności szkoły, oceniane są głównie poprzez pryzmat rezultatów uzyskiwanych przez uczniów na testach. Wynika z tego wniosek, że zadaniem nauczyciela jest nauczanie – widoczne wtedy i tylko wtedy, gdy jego uczniowie zdobywają dużo punktów na sprawdzianach. To z kolei prowadzi nas do stwierdzenia, że szkoła jest szkołą na wysokim poziomie wtedy i tylko wtedy, gdy jej uczniowie osiągają wysokie wyniki na sprawdzianach – co z kolei ma uzasadniać linię polityczną, w myśl której Ameryka zdobyła i utrzymuje swoją pozycję mocarstwa gospodarczego dzięki tymże wysokim wynikom uczniów na sprawdzianach. Być może faktycznie przydałoby się czasem pomodlić, niemniej ja proponuję poddać próbie tę logikę – czyli sprawdzić sprawdzian.

Edukacyjne rozbrojenie

Placówki Montessori w przestrzeni prywatnej nie są tutaj – niestety – wyjątkiem. Wielu (jeżeli nie większość) rodziców uczęszczających do nas dzieci (a także tych, którzy dopiero zamierzają zapisać swoje pociechy) domaga się testu sprawdzającego dla swojego dziecka. Istnieje przekonanie, że taki sprawdzian lepiej przygotowuje ich dzieci do „prawdziwego” świata. W jakiś magiczny sposób wynik tego testu ma ocenić ich dzieci oraz to, czego się nauczyły. W szkołach państwowych wynik takiego testu to karta do rozgrywki politycznej. **Wynik sprawdzianu zastępuje zrozumienie, a następnie rozwinięcie wyjątkowych zdolności dziecka i jego potencjału. Wynik sprawdzianu zastępuje pomoc dziecku w rozwijaniu jego naturalnych zdolności, zainteresowań i dociekliwości. Wynik sprawdzianu zastępuje inwestycje w zoptymalizowane pomoce szkolne i dydaktyczne.** Wynik sprawdzianu zastępuje pełny rozwój naturalnych zdolności badawczych i poznawczych dziecka drogą zadawania pytań i dokonywania odkryć. Wynik sprawdzianu zastępuje przygotowanie dziecka do dorosłego życia w XXI w. – już teraz przecież

okrzykniętym epoką nieustannych przemian. To w końcu wynik sprawdzianu, a nie nasze dzieci, staje się wyznacznikiem retoryki politycznej, wytycznych dla systemu edukacji oraz nakładów finansowych. Właśnie w to, wedle słów naszych polityków, powinniśmy wierzyć; winniśmy przyjąć wysokie wyniki sprawdzianów jako najwyższe dobro tego świata. Gwoli przykładu:

„Przyszłość [nasza – przyp. tłum.] jako narodu zależy od naszej gotowości do zapewnienia każdemu uczniowi – nie tylko garstce wybrańców – pomocy w uzyskaniu o wiele wyższych wyników z przedmiotów matematycznych i ścisłych. W dobie kryzysu ekonomicznego okazało się, że stare sposoby prowadzenia interesów przestały się sprawdzać [...]. Musimy podjąć wznowiony wysiłek celem wdrożenia innowacyjnej reformy systemu kształcenia dla naszych uczniów i dla przyszłego dobrobytu naszego narodu (Dick Riley, sekretarz ds. edukacji w latach 1993-2001). Dlaczego nasz los jako narodu miałby zależeć od – tytanicznego zaiste – wysiłku naszych dzieci w walce o wysokie oceny z matematyki i fizyki? Czy były sekretarz ds. edukacji szczerze pragnie nowelizacji i reformy systemu kształcenia, czy też jego celem jest to samo, co wszystkich jego poprzedników przez ostatnie trzydzieści lat – jeszcze więcej testów? A jeśli tak, to dlaczego mielibyśmy wierzyć, że akurat ten „wznowiony wysiłek” w reformowanie edukacji zakończy się sukcesem, podczas gdy inne podobne jemu poniosły klęskę?

W opublikowanym w 1983 roku raporcie A. Nation at Risk [Naród w obliczu zagrożenia, raport Narodowej Komisji ds. Jakości Edukacji USA za czasów prezydenta Regana – przyp. tłum.] czytamy również, że gra toczy się o naszą przyszłą wolność. W dokumencie tym, opatrzonym podtytułem The Imperative for Educational Reform [Imperatyw Reformy Edukacji – przyp. tłum.], Amerykanie mogli wyczytać jasne ostrzeżenie: „Naród nasz stanął w obliczu zagrożenia. Nasz niegdyś niekwestionowany prymat w dziedzinie handlu, przemysłu, nauki i innowacji w technologii jest zagrożony przez konkurentów na całym świecie. Raport niniejszy zajmuje się wyłącznie jedną z wielu przyczyn tej kwestii, lecz to właśnie ona uderza w fundamenty amerykańskiego dobrobytu, bezpieczeństwa i kultury. Mówimy dziś Amerykanom, że pomimo powodów do zasłużonej dumy z tego, co nasze szkoły i uniwersytety osiągnęły i wniosły do Stanów Zjednoczonych oraz poziomu życia ich obywateli, fundamenty naszego systemu edukacji są dziś rozmywane i niszczone przez wzmagające się fale miernoty, zagrażającej naszej przyszłości, jako narodu oraz ludzi. To, co było niewyobrażalne zaledwie pokolenie temu, dziś przyjmuje realne formy – inni zaczynają nam dorównywać i prześcigać nasze dokonania edukacyjne”.

Gdyby wrogi nam imperium próbowało stłamsić system kształcenia w Ameryce do tak miernego poziomu, z jakim mamy do czynienia dzisiaj to moglibyśmy odebrać to jako akt wojenny. Natomiast to my sami pozwoliliśmy na taki rozwój sytuacji. Roztrwoniliśmy nawet dokonania akademickie uzyskane w trakcie wyścigu kosmicznego. Co więcej, doprowadziliśmy do rozkładu podstawowych narzędzi, które w ogóle umożliwiły nam te zdobycze. W gruncie rzeczy dokonywaliśmy i dokonujemy nadal bezmyślnego i jednostronnego rozbrojenia edukacyjnego. Wydawać się może, że nasze społeczeństwo i jego instytucje kształcenia straciły z oczu podstawowe cele edukacji szkolnej, nie mówiąc już o wysokich oczekiwaniach oraz metodycznym wkładzie pracy niezbędnym do ich osiągnięcia.

Nowe surowce handlu międzynarodowego

W tekście *Narodu w obliczu zagrożenia* czytamy dalej: „Wiedza, nauka, informacja oraz wyćwiczona inteligencja są nowymi surowcami handlu międzynarodowego”. Koniec gospodarki epoki industrialnej widoczny był dwadzieścia siedem lat temu, zaś wyższość gospodarcza Japonii, Korei i krajów Europy w tamtym czasie była czymś oczywistym dla Ameryki, zmagającej się z efektami dławiącej jej recesji. Ówczesna retoryka polityczna – zupełnie jak dzisiejsza – nawoływała pracujących Amerykanów do walki i odbicia „wrogom” przewagi konkurencyjnej poprzez stanie się najlepiej wykształconą (czytaj: najwyższej ocenianą) siłą roboczą świata. „Edunomia” [hybryda edukacji i ekonomii – przyp. tłum.] chce po prostu zaprząć dzieciństwo do pracy w swoim kieracie.

A doprowadziły do tego wyniki międzynarodowych testów sprawdzających. Dzieci w Ameryce przez trzydzieści siedem lat żyły bez tego, co jest dla nich dobre i potrzebne. Autorzy raportu *Naród w obliczu zagrożenia* lamentują: „Międzynarodowe porównania uczniów, przeprowadzone dziesięć lat temu, wykazały, że na dziewiętnaście testów wiedzy szkolnej Amerykanie nigdy nie uplasowali się nawet na drugim miejscu, a w porównaniu do innych krajów uprzemysłowionych aż siedem razy zajęli ostatnie miejsca”. Ten sam dokument publikuje jeszcze inne niepokojące doniesienia, takie jak chociażby obniżający się nieprzerwanie od siedemnastu lat poziom testów SAT [Scholastic Assessment Test, testów kompetencji oraz wiedzy ogólnej dla uczniów w USA – przyp. tłum.] czy też nieustanne spadki wyników w innych znormalizowanych sprawdzianach. Zwiększyła się liczba uczniów porzucających naukę w szkolnictwie wyższym, podobnie jak liczba osób uczestniczących w zajęciach wyrównawczych podczas pobierania nauki oraz późniejszej pracy zawodowej.

Przez ostatnie trzy dziesięciolecia przemysłowcy Ameryki lokowali swoje przedsiębiorstwa w odległych, zamorskich krajach – nie dlatego, że w ich kraju pogarszały się wyniki testów sprawdzających, lecz z powodu taniości niewykształconej siły roboczej krajów Trzeciego Świata. Niemniej, pojawiła się gospodarka oparta na wiedzy; dziś ma ona rozmiary globalne i stała się konkurencyjna. Ówczesna retoryka polityczna była jasna; nadeszła pora na przekwalifikowanie. Jeżeli Ameryka miała pozostać krajem bezpiecznym gospodarczo, a więc wolnym politycznie, amerykańscy uczniowie musieli otrzymywać wykształcenie na odpowiednim poziomie i na miarę nowego rodzaju gospodarki. W latach 80. i 90. XX w. korporacje Ameryki przestawiły się na gospodarkę opartą na wiedzy. W ich ślady poszły również szkoły – w interesie gospodarki oraz własnym. Na obraz i podobieństwo korporacji szkoły zaczęły tworzyć sobie własne motto, normy efektywności, cele do spełnienia i standardy działania.

Silne firmy utrzymywały się na rynku wyłącznie wtedy, gdy konsumenci nagradzali je wymiennie poprzez wracanie do ich produktów. Czynnikiem decydującym o sukcesie firmy były wyróżniający się produkt oraz orientacja na całościową jakość świadczonych usług. Analogicznie zatem – szkoła wyróżniała się poprzez wykazywanie jak najwyższych testów. Rodzice nagradzali te, a nie inne szkoły poprzez posyłanie do nich swoich pociech. Inne szkoły – jak słabsze firmy – musiały zamykać swe podwoje. Te właśnie powody przyczyniły się do powstania dzisiejszej retoryki. Jak mówił podczas posiedzenia Monthly Stakeholders Meeting sekretarz ds. Edukacji USA Arne Duncan: „Czy to w alaskańskiej głuszy, czy w śródmiejskim Detroit, wszędzie łączy to samo przekonanie: że wykształcenie jest ratunkiem gospodarczym dla Ameryki. Edukacja jawi się jako jedyna prawdziwa droga wyjścia z ubóstwa – wielkie zrównanie szans, pokonanie różnic

pochodzenia, kultury i majątku. Jest ona jedynym sposobem na zabezpieczenie naszej wspólnej przyszłości w konkurencyjnej gospodarce globalnej [...]. Wszyscy pragniemy dla naszych dzieci tego, co najlepsze, i gotowi jesteśmy przyjąć na siebie większą odpowiedzialność. Nikt nie podaje w wątpliwość naszego celu”.

Przeciwko dzieciom i istocie dzieciństwa

A – ja przewrotnie – poddaję ich cel w wątpliwość. Otóż toczymy dziś wojnę, i to nie tylko wojnę w Iraku czy Afganistanie. Toczymy wojnę przeciwko dzieciom i samej istocie dzieciństwa. *Naród w obliczu zagrożenia* to wezwanie do mobilizacji na rzecz reformy systemu kształcenia w oczekiwaniu na nadejście nowego rodzaju gospodarki. Wezwanie to rozbrzmiało jednakże, gdy rząd akurat decydował się na doprowadzenie byłego ZSRR do bankructwa poprzez tzw. program gwiazdnych wojen [fikcyjny program niekontrolowanego wyścigu zbrojeń – przyp. tłum.]. wystarczających pieniędzy na pełnowymiarową rekonstrukcję szkolnictwa na styl korporacyjny po prostu nie było.

Począwszy od roku 1983 wysiłki w kierunku wdrożenia reformy jakości kształcenia zaowocowały różnorodnymi całościowymi systemami zarządzania jakością dla szkół oraz ewolucją stanowych i państwowych standardów dla wyników nauczania. Wprowadzony przez prezydenta Busha Seniora w 1992 r. program *America 2000* stawiał ambitny cel uczynienia uczniów Ameryki prymusami w testach z matematyki i przedmiotów ścisłych. Prezydent Clinton przyjął te same wytyczne w roku 1994 poprzez *Goals 2000 Educate Americans Act*. Pomimo hossy gospodarczej w latach 90. i odbudowującej się dzisiaj gospodarki, przesłanka zarówno wtedy, jak i teraz była taka, że wysokiej klasy kształcenie w systemie K-12 [dwunastoklasowym systemie w USA – przyp. tłum.] będzie gwarantować sukces gospodarczy USA. Okazało się, że rok 2000 nadszedł i minął; w centrum uwagi znalazł się fenomen Y2K [oczekiwania na technologiczny koniec świata w związku z awarią systemów mierzenia czasu w komputerach – przyp. tłum.], a wszyscy zapomnieli o porażce programu wychowania małych Amerykanów na najmądrzejsze dzieciaki pod słońcem. Czy to ta porażka i spadający poziom wyników przyczyniły się do krachu na rynku nieruchomości i nadejścia nowego wielkiego kryzysu? W gruzach legły nie tylko nadzieje na wysokie wyniki ze sprawdzianów; w ciągu minionych trzydziestu lat gruzowiska zostały też po niejednej szkole w Ameryce. Być może to osobliwe koncentrowanie się na wynikach sprawdzianów było (i jest zresztą nadal) bardziej roztropne z punktu widzenia ekonomii – nie możemy przecież dokładać się do deficytu budżetowego (pochodzącego w części z czasów wojny) poprzez odbudowywanie szkół.

Obecna wariacja na temat dyrektywy testowej nosi nazwę *No Child Left Behind* [Aby żadne dziecko nie pozostało w tyle – przyp. tłum.]. Myśl przewodnia jest nadal ta sama, wciąż wywodząca się z przestarzałego myślenia rodem z epoki industrialnej i fabryczno-taśmowego modelu nauczania: „Jedno podejście dobre dla wszystkich”. **Nauczyciel, pełniący funkcję brygadzysty, dogląda procesu produkcyjnego: wedle utartego zwyczaju, produkcja w budynku szkoły sprowadza się do tego, że to dorośli wybierają, czego się uczymy, kiedy się uczymy i jak będziemy to robić. Szkoła-fabryka ma też swój system kontroli jakości – czyli standardy nauczania – aby zapewnić w pełni zunifikowaną produkcję towaru... o, przepraszam – dzieci.**

Zgodnie z modelem fabrycznym, lepsze standardy nauczania szkolnego na poziomie stanu i państwa mają – zupełnie jak wytyczne na linii produkcyjnej – zagwarantować produkcję

uczniów wyższej jakości. Tak właśnie wygląda nasz cudowny system już od ponad trzydziestu lat, ale pomimo usilnych starań, nakładów pieniężnych i popisów krasomówczych, konkretnych wyników uzyskiwanych z oceny ogólnie przyjętych testów mamy jak na lekarstwo, co w marcu 2010 r. przedstawił w swoim oświadczeniu sekretarz ds. edukacji Arne Duncan: „Wyniki te raz jeszcze pokazują nam, że dokonania uczniów w Ameryce nie rosną tak, jak byśmy tego chcieli. Po umiarkowanym polepszeniu ostatnich lat, wyniki uczniów klas czwartych w czytaniu utrzymują się na tym samym poziomie, zaś dla klas ósmych wzrosły zaledwie o jeden punkt. Nie osiągnęliśmy statystycznie istotnego zmniejszenia przepaści dzielącej nas od zadawalającego wyniku w żadnej z tych klas. Podobnie jak wyniki testu z matematyki NAEP 2009 opublikowane ubiegłej jesieni, wyniki testu z czytania wykazują jasno, że uczniowie nie dokonali postępów wymaganych dla konkurowania w globalnej gospodarce. Rezultatów tych nie wolno nam uznać za zadawalające. Pod tym – jak i pod wieloma innymi względami – nasi uczniowie nie dadzą rady ukończyć szkoły średniej w gotowości do odnoszenia sukcesów na studiach czy w miejscu pracy”.

Jakkolwiek więc rzeczą słuszną jest zapewnienie wszystkim dzieciom dobrej jakości wykształcenia, to trudno nazwać słusznym obecne, politycznie uwarunkowane podejście. Musimy być zatem przygotowani na to, że wraz ze wzrostem liczby uczniów przerywających edukację, coraz częściej będziemy słyszeć od nich, że dość już mają firmy (szkoły) w jej obecnej formie. Zwolennicy politycznie uwarunkowanego systemu z uporem godnym lepszej sprawy twierdzą, że jedna metoda jest dobra dla wszystkich. Niestety – to po prostu nie działa, i zadziałać nie zamierza. W fabrykach produkuje się rzeczy; fabryki wdrażają kontrolę standardów celem zapewnienia wyników produkcji w postaci jednakowych produktów o jednakowej jakości. Oczywiście, dobrze jest wiedzieć, iż na przykład krzesło na którym siedzimy, spełnia standardy obciążeń. Ustalone standardy powinny też spełniać hamulce w naszym samochodzie, dzięki temu będziemy w stanie na czas zahamować. Chcemy też, żeby nasze jedzenie i woda zawsze były czyste i higieniczne. Tyle tylko, że logika taka jest niestosowana i niewłaściwa w odniesieniu do dzieci.

Ponieważ dziecko, krótko mówiąc, NIE JEST RZECZĄ. **Dziecka nie opisze się standardem wagomiaru. Natomiast dzieci zasługują na dzieciństwo. Jednakowość i unifikacja przeczy samej istocie życia – wzrostowi, zmianom, różnicom, wyjątkowości i możliwościom.** Każde jest jedyną w swoim rodzaju osobą. Dzieci dorastają w różnym wieku; ich nauka na jednym etapie życia diametralnie różni się od nauki na jakimkolwiek innym. Dzieci posiadają wyjątkowe zdolności i potencjał, dany im po to, aby stały się tym, kim mają być; najlepiej wiedzą o tym rodzice kilkorga pociech.

Słabość metody koncentrującej się na testach widać jeszcze w kilku innych aspektach. W swojej obecnej formie program *No Child Left Behind* (NCLB) zakłada, że jednakowe wyniki w testach świadczą o równości kształcenia; jeżeli wszystkie dzieci uzyskają ten sam wynik, to znaczy, że nauczyły się tyle samo. Problem w tym, że jedne dzieci radzą sobie lepiej od innych z samym pisaniem sprawdzianów. Część dzieci potrafi przetwarzać informacje z lepszym przechowaniem pamięciowym, podczas gdy inne tego nie umieją. Pewna grupa dzieci boryka się z dodatkowymi trudnościami w nauce, zaburzeniami integracji sensorycznej i licznymi niedoborami uwagi. Mimo tego jednak NCLB wymaga od szkół, aby wykazywały się swoim wskaźnikiem corocznego postępu AYP [Adequate Yearly Progress, Odpowiedni Coroczny Postęp – przyp. tłum.], wymagającym rokrocznie coraz wyższych w porównaniu do lat ubiegłych rezultatów, bez uwzględniania jakichkolwiek potrzeb

jednostkowego ucznia. Dlaczego niby mielibyśmy zakładać, że doszło do procesu nauczania, mając do dyspozycji tylko i wyłącznie dane o wyższych wynikach? Przecież dzieci na pewno się uczą – nawet jeżeli wyniki są gorsze. A jeżeli rzeczywiście mamy lepszy wynik, to czego się nasze dzieci faktycznie nauczyły, jeżeli jutro zapomną to, co umieją dzisiaj?

NCLB zakłada ponadto, że nagrody pieniężne za lepsze, zaś kary za gorsze wyniki przyczynią się do poprawy sytuacji w szkołach. Nie zmienia to faktu, że w roku 2006 aż 30% szkół w USA nie spełniło wymagań AYP. Odsetek szkół, które nie spełniają standardów NCLB wzrósł do 50% w 2008 r., a rok 2009 nie przyniósł większych zmian. W tym samym natomiast okresie wszystkie w zasadzie stany – w odpowiedzi na negatywne skutki kryzysu finansowego – zmniejszyły wydatki na edukację, inwestując jednocześnie w mniej kosztowny system testów wielokrotnego wyboru (NCLB *after six years*).

W imię odpowiedzialności za czyny system polityczny wyrzuca na bruk nauczycieli i dyrektorów szkół, które nie wyciskają z dzieci zadawalająco dobrych rezultatów w testach. Jeżeli gra idzie tu o nasze stołki, to czy nie jest to wykorzystywanie dzieci? Czy używanie dzieci do produkowania wyników w testach – które *de facto* mają być miarą efektywności pracy dorosłych – nie jest postępowaniem bezdusznym, nagannym i tragicznym zarazem?

Ta dominująca polityka wprowadziła do sal lekcyjnych atmosferę napięcia i strachu, za nic mając jej wpływ na proces nauczania. Dzieci nie są w stanie w takich warunkach się uczyć. Dzieci potrzebują do nauki otoczenia, które je wspiera i zachęca do podejmowania ryzyka oraz popełniania błędów – dwóch krytycznych aspektów procesu nauczania. W warunkach napięcia i strachu mózg ludzki stara się uruchomić wyższe funkcje związane z myśleniem i rozwiązywaniem problemów. Przy dalszym nasileniu bodźców stresogennych nasz mózg wycofuje się do najbardziej prymitywnego trybu „uciekaj / walcz / nie ruszaj się”. Być może trudno to poprzeć dowodami, lecz wydaje się niemożliwe, by powiązanie zjawisk przemocy w szkołach i rosnącego parcia na wyniki w testach było kwestią tylko zrypałki.

Tłumaczenie: Joanna Maghen